Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 243 (Rok XIV, Nr 6) 15 marca 1954 Cena (Price) 1/6

AKT ZJEDNOCZENIA

W NIEDZIELĘ 14 marca Akt Zjednoczenia politycznego emigracji został podpisany przez wszystkie stronnictwa reprezentowane w Radzie Politycznej i przez wszystkie stronnictwa i ugrupowania b. Rady Narodowej z wyjątkiem dwóch drobnych grup pp. Pragiera i Kuncewicza.

W ten sposób zjednoczenie polityczne stało się faktem. Oczekiwać należy obecnie mianowania generała Sosnkowskiego następcą Prezydenta Rzeczypospolitej.

Rokowania trwały długo, może zbyt długo. Ale ta powolność tworzenia jedności politycznej miała swoje dobre strony. Nie chodziło przecież o ułożenie jakiejś jednorazowej deklaracji ani o efekt zewnętrzny, lecz o dokładne porozumienie się co do kierunku polityki polskiej i sposobu współpracy między różnymi ruchami politycznymi w ramach wspólnej, dobrowolnie przyjętej dyscypliny patriotycznej. W tym celu potrzebne były i te długie rozmowy i spory, i nawet te niespodzianki taktyczne. Wyjaśniły one bowiem bardzo wiele.

Powoli i bez entuzjazmu budowane porozumienie może okazać się znacznie trwalsze niż szybko i bez dyskusji nad różnicami dzielącymi partnerów przeprowadzona w nastroju zapału ugoda.

Podpisanie Aktu Zjednoczenia nie oznacza jeszcze końca wszystkich starań ani natychmiastowego urzeczywistnienia założeń tego aktu. Oznacza jednak, że obecnie już można przewidywać i przygotowywać jednolitą politykę polską w świecie, że na przekór wszystkim, którzy woleliby nie mieć do czynienia z jednym głosem polskim, ten jednolity głos odtąd się będzie rozlegać.

ZNÓW TO SAMO

Władze Dolnej Saksonii postanowiły dokonać ekshumacji zbrodniarzy wojennych, powieszonych lub rozstrzelanych w b. angielskim więzieniu w Hamelinie i „przyzwoicie pogrzebać" na miejskim cmentarzu.

Ten pozornie drobny fakt wskazuje, że przyszła współpraca Zachodu z Niemcami nie będzie wcale łatwa, gdyż przy wszystkich swoich zaletach naród niemiecki jakoś nie chce wyrzekać się wad.

W Hamelinie stracono na podstawie wyroków trybunałów alianckich 91 osób z Józefem Kramerem i Irmą Grese na czele. Większość straconych to podobnie jak ci dwoje, dozorcy i przełożeni najstraszliwszych obozów koncentracyjnych ostatniej wojny, w których zginęły miliony Europejczyków, w tym wielu Polaków.

Prawicowa prasa zachodnich Niemiec zajęła nieprzyjemne stanowisko w stosunku do procesów tych ludzi. „Hannoversche Allgemeine Zeitung" pisząc o przeniesieniu zwłok skazanych mówi o „ponurych egzekucjach", zastanawia się czy „winni i niewinni nie zostali razem straceni" i oskarża Anglików, że tych „winnych i niewinnych wrzucili do jednego masowego grobu".

Niemcy są dziś potrzebni światu zachodniemu, nie kończą się więc głosy podziwu dla ich energicznego odrodzenia gospodarczego i mówi się stale o ich ważnej roli w centrum Europy. Jednocześnie słychać głosy niemieckie w takich sprawach, o jakich przyzwoity człowiek wolałby w ogóle milczeć. Nie rozciąga się to co prawda na wszystkich Niemców, ale jak dotąd nikt nie zaprotestował przeciw naprawdę nieprzyzwoitej akcji „przywrócenia honoru" zbrodniarzom wojennym.

Budzi to prawdziwe zaniepokojenie na Zachodzie, a radość w Sowietach. Niemcy sami dostarczają materiału sowieckiej propagandzie dzięki tolerowaniu objawów entuzjazmu dla czasów hitlerowskich. W tych warunkach powstaje pytanie, czego można od nich oczekiwać, jeśli jako państwo poczują się jeszcze silniejsi. Uaktualnia zagadnienie to, że nie ma mowy o rezygnacji Zachodu z ich wysiłku zbrojnego. Jest on potrzebny, ale nikt, my Polacy szczególnie, nie może zamykać oczu na powrót apetytów zaborczych i obojętność wobec pochwał zbrodniczej przeszłości.

Wolność i zjednoczenie Niemiec są możliwe tylko w wypadku odsunięcia wpływów sowieckich na wschód. A tego nie da się dokonać bez udziału narodów Europy środkowej, które chociaż każdy z osobna są mniej liczne od Niemców, ale wcale nie mniej energiczne i nie mające zamiaru rezygnować ze swych żywotnych interesów na rzecz narodu liczniejszego. Czas najwyższy, aby Niemcy zrozumieli, że sprawa ziem na wschód od Odry i na południowy-wschód od Sudetów jest przesądzona. W Europie środkowej każde dziecko wie, że powrót ludności niemieckiej na te tereny jest wykluczony. Gdyby nawet była możliwa zgoda Polaków i Czechów na takie załatwienie, tak jak jest niemożliwa, to i wtedy ludność niemiecka tam nie wróciłaby, gdyż jak wiadomo jej większość wcale nie ma takich zamiarów po znalezieniu wygodnego i pewnego bytu w Niemczech zachodnich.

Rozpoczęty 7 wieków temu niemiecki eksperyment imperialistyczny doszedł kresu i nie udał się. Zamiast odgrzebywania słusznie skazanych morderców milionów niewinnych, lepiej zacząć zagrzebywanie nieudanej polityki. Jej kontynuacja ani Europie, ani samym Niemcom nie przyniosłaby nic dobrego.

CIEPLEJSZY TON?

W publicystyce brytyjskiej daje się zauważyć w ostatnich dniach pewien delikatny zwrot w stosunku do komunizmu. Już przed kilku miesiącami prof. Arnold Toynbee wystąpił z idiotycznymi tezami kapitulacyjnymi wobec komunizmu. Dopiero w ubiegłym tygodniu ukazała się odpowiedź, lecz odpowiedź obszerna w postaci 62-stronicowej broszury Douglasa Jerrolda, mocno zareklamowanej przez prasę konserwatywną. Pewien rozgłos nadano także w ostatnich dniach oświadczeniu gubernatora Jamajki (gdzie tak niedawno podejmowano Królową), że niepokoje na wyspie mają swe źródło w pieniądzach płynących z Moskwy.

PENETRACJA W ŚRODKOWEJ AMERYCE

Moskwa krzyczy wiele o amerykańskich bazach naokoło Sowietów, sama jednak od dawna próbuje założyć własne bazy na kontynencie... amerykańskim. Dla tego celu usiłuje wykorzystać zawikłane politycznie, kulturalnie, rasowo i ekonomicznie stosunki Ameryki centralnej.

Ameryka Środkowa, to pas kontynentu od południowych granic Meksyku do północnych granic Kolumbii, na którym znajduje się sześć niezależnych lub półzależnych państewek oraz jedna kolonia brytyjska (Honduras), od czubka zaś meksykańskiego półwyspu Yukatan aż po ujście rzeki Orinoko w Południowej Ameryce Morze Karaibskie wypełniają wyspy i wysepki, z których jedne mają tytularną niepodległość, drugie są koloniami różnych państw z Wielką Brytanią i Francją na czele.

Ludność tego regionu stanowi mieszanina ras białej, czerwonej i czarnej. Głównym językiem jest hiszpański, ale występują obok niego angielski w odmianie północno-amerykańskiej i europejskiej oraz francuski. W upalnym klimacie podzwrotnikowym reakcje ludzkie są żywe, równowaga nerwów zachwiana, trwałość rządów miejscowych (nie kolonialnych) wątpliwa. Warunki ekonomiczne są dość trudne i nędzy nigdzie nie brak.

Jak widać, teren niemal idealny dla propagandy sowieckiej. Podsycanie i tak istniejących konfliktów, zaostrzanie przeciwieństw, podburzanie Amerykanów przeciw europejskim państwom kolonialnym, czarnych i czerwonych przeciw białym — wszystko to oczywiście istnieje w programie miejscowych kompartii. Są one dobrze i bezpośrednio kierowane z Moskwy, wielu ich członków kształci się w Sowietach i w stolicach państw podbitych. Obfitość emigrantów, którzy brali udział w rewolucji hiszpańskiej przed drugą wojną światową, pomaga w tworzeniu komórek bojowych.

Nie ma takiego roku, by w rejonie tym nie odbyła się jakaś większa impreza jeśli nie czysto komunistyczna, to chociaż wspierana przez komunistów. W r. 1953 na południowo-wschodnim krańcu miały miejsce znane wypadki w brytyjskiej Gujanie, początek marca zaznaczył się terrorystyczną akcją tzw. nacjonalistów z Porto Rico w siedzibie Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Śledztwo w sprawie zamachu stwierdziło, że ci „nacjonaliści“ również kontaktowali się z komunistami, chociaż związek ich był grubo luźniejszy niż więzy łączące z Moskwą b. premiera Gujany, Jagana.

Główną komunistyczną bojową organizacją regionu jest tzw. legion karaibski, który parokrotnie zmieniał miejsce postoju i obecnie podobno przeniósł się do Gwatemali, gdzie komunizm rządzi za parawanem rzekomo liberalnego prezydenta Arbenza.

Posiadanie bazy w rodzaju Gwatemali jest wielkim sukcesem Moskwy. Skomplikowane stosunki centralno-amerykańskie nie pozwalają Stanom Zjednoczonym ani tolerować komunistów w pobliżu Kanału Panamskiego, ani interweniować zbyt wyraźnie w wewnętrzne stosunki małych republik. Możliwe jednak, że sowiecka akcja organizowania baz pod nosem Stanów Zjednoczonych spotka się wkrótce z przeciwdziałaniem Meksyku. Bezpośredni sąsiad Gwatemali czuje się bowiem zagrożony rozwijaną tam penetracją komunistyczną. Stąd nie jest wykluczona interwencja meksykańska z błogosławieństwem Waszyngtonu.

POD CHRUSZCZOWEM I ROKOSSOWSKIM

10 marca rozpoczął się w Warszawie w danym CIWF-ie na Bielanach kongres PZPR. Kongres taki, od czasu przybrania przez kompartię polską nazwy PZPR po zlikwidowaniu pseudo-PPS przed pięciu laty, powinien był się odbywać periodycznie; w rzeczywistości nie odbył się dotąd ani razu. Obecny kongres miał rozpocząć się 16 stycznia, został przełożony na 10 marca. O przygotowaniach do niego i bilansie ostatniego pięciolecia pisaliśmy obszernie w poprzednim numerze „Myśli Polskiej“.

W świetle tamtych uwag warto zastanowić się, jak wygląda sam kongres. Choć główne problemy stojące przed rządzącymi Polską komunistami są natury gospodarczej i na nie powinna by warszawska demonstracja (bo przecież nie są to żadne obrady) dać publiczną odpowiedź, główne akcenty tego zjazdu wcale nie były gospodarcze, lecz jak najbardziej polityczne, ba z zakresu tego, co nazwać należy polityką międzynarodową.

Pierwszym z tych akcentów było pojawienie się na czele delegacji sowieckiej samego Chruszczowa, szefa gospodarki sowieckiej i jednego z trzech najwyższych w tej chwili postawionych w hierarchii bolszewickiej ludzi. Postać Chruszczowa dominowała nad kongresem „polskiej“ partii „robotniczej“. Wymowa pojawienia się Chruszczowa i jego powitanie, w którym położył nacisk na sprawy produkcji rolnej, jest podwójna. Po pierwsze wskazuje ona plastycznie, że PZPR jest tylko sekcją sowieckiej kompartii i że decyzje co do jej uchwał, a nawet terminów zjazdów zapadają w Moskwie; po drugie wskazuje, że zadaniem kongresu jest nowe wyrównanie kroku na Rosję.

Polska bowiem w porównaniu z innymi krajami oddanymi na łup bolszewizmowi jest opóźniona w stosunku do nowego programu „lepszego życia“ ogłoszonego w Moskwie za rządów Malenkowa. Przyczyną tego opóźnienia jest cięższa niż w innych krajach, z punktu widzenia komunistycznego, walka ze społeczeństwem. Polska była uprzemysławiana na większą skalę i szybciej niż inne kraje „satelickie“, co łączy się z przesunięciem sporej części ludności wiejskiej do miast. Taki wzrost produkcji i ludności przemysłowej wymaga odpowiedniego wzrostu produkcji rolnej. Tymczasem w Polsce produkcja rolna w ostatnich pięciu latach wzrosła wedle danych oficjalnych tylko o 9%; o 9% także wzrosła w tym czasie ludność Polski. Czyli wzrostu rzeczywistego nie było. Wieś nie będzie produkować więcej dopóki zagrożona będzie kolektywizacją, tj. wywłaszczeniem gospodarzy wiejskich. Miasto produkuje coraz gorzej, bo zarobki nie wystarczają na życie. Prześladowanie Kościoła, a zwłaszcza od czasu aresztowania Prymasa, odbija się, jak sami komuniści to zauważyli, głuchym i niezorganizowanym, ale powszechnym sabotażem społeczeństwa.

Przed komunistami w Polsce stoi wybór: albo ustąpić przed oporem Polaków, zawiesić prześladowania religijne i kolektywizację, albo wydatnie zmniejszyć eksploatację Polski na rzecz Sowietów. Sowiety nie godzą się ani na jedno, ani na drugie. Chruszczow domaga się podniesienia produkcji rolnej, Bierut stwierdza, że kolektywizacja ziemi jest nadal zasadniczym celem kompartii. Wygląda z tego, że bolszewicy polscy są bezsilni. Jeśli nie zaprzeczą własnym deklaracjom w praktyce, to nędza w Polsce jeszcze się pogłębi, a dezorganizacja produkcji i dystrybucji przybierze cechy anarchii.

Jakie lekarstwo na to pokazuje kompartia na swoim kongresie?

O tym mówi drugi akcent niegospodarczy wiecu bielańskiego. Momentem największego napięcia było wkroczenie na salę Konstantego Rokossowskiego. Przy głośnych rozkazach „wstać, wstać!" przeszedł on przed wyprężoną na baczność salą „delegatów" i zapewnił z trybuny, że dowodzone przez niego wojsko spełni każde zadanie, jakie otrzyma. W ten sposób przypomniano o „ultimo ratio regis" ustami marszałka sowieckiego, godnego następcy „Księcia Warszawskiego" Suworowa, bo gdy tamten sam dokonał rzezi Pragi, ten życzliwie patrzył z Pragi na rzeź całej Warszawy przez Niemców.

Składając hołd Rokossowskiemu Bierut uważał za stosowne przypomnieć, że armia sowiecka miała główny udział w dokonanej w Polsce „rewolucji". Wiemy, że miała niemal wyłączny i że ten rodzaj rewolucji nazywa się najazdem obcym. Jeżeli Bierut uważał za stosowne to przypomnieć, ma widocznie powody do sądzenia, że już tylko ten argument może mu zapewnić posłuch własnej partii. Jest to przyznanie się do klęski politycznej i gospodarczej.

Lepiej było może odroczyć ten kongres na dłużej niż dwa miesiące? Stalin by pewnie polecił zaczekać, ale Malenkow to już nie to. Prawda towarzyszu Bierut?

SAMOBÓJCZA NUTA

Sytuacja pisarza za żelazną kurtyną jest beznadziejna i ten słuszny sąd staje się już niemal banalny. Ale powtarza się on tyle razy, ile razy słyszymy o prawdziwym pisarzu. Wszyscy zawodowi fałszerze słowa, za pieniądze zgrabnie powtarzający myśli sowieckich patronów, oczywiście tragedii nie przeżywają i sytuacja ich jest zwykle wygodna, choć zupełnie nieusprawiedliwiona.

Komunistyczna prasa krajowa rejestruje talent pisarski Mariana Promińskiego, autora nowel i opowiadań. Tematyka ich odpowiada wymaganiom czasów, tj. reżimu. Recenzent „Trybuny Ludu" znajduje w jego opowiadaniach sportowych niebanalne ujęcie, żywość akcji, umiejętność obserwacji. Pisząc o zbiorku pt. „Poczta lotnicza" przyznaje, że „mało mamy w naszej literaturze współczesnej akcji miłosnych tak subtelnie i tak wnikliwie przedstawionych". Mimo to pisarz jest ciężkim grzesznikiem i zostaje potępiony z zawieszeniem, tj. słyszy wezwanie do poprawy. Grzech polega na braku tendencji. Zarysowuje zagadnienie, a nie mówi co o nim myśli i nie daje mu propagandowego rozwiązania. W każdym niemal opowiadaniu recenzent znajduje tę samą wadę. Grozi przeto, że autor musi wnieść „poważne nieprzemijające wartości do literatury polskiej", a więc propagandę. Jeśli nie usłucha, to „czarować będzie tylko chwilowo czytelników". Groźba jest jasna, państwowe wydawnictwa nie będą drukować nietendencyjnych książek.

Autor pewnie zdawał sobie z tego sprawę. W jednej bowiem noweli opisuje rozmowę bohaterki z pesymistą, który twierdzi, że są ludzie fatalnie skazani na samobójstwo. Teorie włożone w usta osoby opowiadania odznaczają się „dużym zapasem argumentów, niepokoją czytelnika i wbijają mu się w pamięć".

Cóż w tym dziwnego? Pisarz mający wybór ograniczony może znaleźć się w trudnej sytuacji. To nie skłonność do psychologizmów, to beznadziejność życia pod komunizmem.

MILCZEĆ I ZGADZAĆ SIĘ

VI kongres komunistycznej partii Bułgarii, niedawno zakończony w Sofii ujawnił, że wskutek ostatniej czystki usunięto z szeregów partii ponad 100 tys. członków. Wielu „ukaranych" skorzystało z formalnego przepisu statutu i odwołało się do kongresu. Zażalenia kongres oddał do rozpatrzenia tym samym władzom wykonawczym, które zarządziły ukaranie.

W podobnie antydemokratycznym, ale za to centralistycznym duchu załatwiono zmiany w statucie partii. Rozpatrując ten punkt porządku obrad przedstawiciel bułgarskiego politbiura stwierdził, że zmiany muszą być takie, aby uzgodnić statut bułgarski z sowieckim wzorem. Zdawałoby się, że sprawa została wyczerpana gdy sprawozdawca zgłosił z urzędu, co i jak ma być postanowione. Okazało się tymczasem, że było paru naiwnych, którzy chcieli poprawiać urzędową wersję poprawek. Gdy zapisali się do głosu w dyskusji przewodniczący kongresu oświadczył, że mogą zgłosić wnioski na piśmie, przemawiać zaś nie mają po co. Zebrani bez namysłu i jednogłośnie zatwierdzili zarządzenie. Wtedy urzędowy referent zmian statutowych dodał, że treść zgłoszonych poprawek indywidualnych nie nadaje się do dyskusji, gdyż na ogół nie mają one sensu.

Tak wygląda komunistyczna demokracja. Wszyscy mają milczeć i zgadzać się.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

CO RICHELIEU MÓGŁ, A BISMARCK NIE

PONIŻSZE uwagi mają charakter teoretyczny, co nie znaczy bynajmniej: oderwany od życia. Każdy najbardziej nawet praktyczny problem wymaga pewnego teoretycznego uporządkowania, zwłaszcza gdy jest ważny i skomplikowany. Bez uporządkowanego myślenia nie ma porządnej polityki, jest tylko działanie odruchowe lub uczuciowe, a w najlepszym razie tradycyjne; niekontrolowane zaś kierowanie się tradycją prowadzi najczęściej do anachronizmów, które stają się źródłem katastrofalnych błędów.

Chciałbym poniżej krótko zająć się problemem teoretycznym: czy i kiedy państwo powinno dążyć do rozbijania państw sąsiednich?

Najogólniejsze założenie jest proste: każde państwo dąży do posiadania jak największej ilości jak najsłabszych sąsiadów. Siła bowiem państwa i zakres jego niezależności są zawsze względne. Polska była państwem silnym w XVI wieku, gdy Niemcy były rozbite na wiele państw, Rosja nie opanowała jeszcze stepów południowych i nie wyszła za Ural, a Turcja nie zajęła niziny węgierskiej. Polska stała się słaba, choć nie zmniejszyła się w sposób zasadniczy ani terytorialnie, ani ludnościowo, w półtora wieku później, gdy Prusy zorganizowały północne Niemcy, gdy Rosja doszła do Bałtyku, Morza Czarnego i nawet Oceanu Spokojnego, a Turcja zagroziła Wiedniowi. Francja, mając mniej ludności i niepomiernie mniejszy przemysł niż obecnie, była pierwszą w świecie potęgą gdy Niemcy były rozbite, a Anglia była krajem rolniczym posiadającym raczej ubogie kolonie. Francja stała się państwem drugorzędnym, pomimo swych kolonii, wobec powstania zjednoczonych i uprzemysłowionych Niemiec i stworzenia przez Anglię imperium kolonialnego. Dziś Anglia, choć ma więcej ludności i większy przemysł

niż przed wiekiem, zmalała wobec powstania takich kolosów jak Stany Zjednoczone i Sowiety. Sądzę, że więcej przykładów dla tej oczywistej prawdy nie potrzeba.

Każde państwo stara się dążyć do tego, by być jak najsilniejszym, to znaczy także by inne państwa, zwłaszcza sąsiednie, były jak najsłabsze. Najprostszym i odwiecznym sposobem urzeczywistniania tego celu jest dążenie do rozbicia silnych sąsiadów na mniejsze państwa. Był to sposób niemal jedyny w czasach gdy siłę państwa mierzyło się głównie bogactwem jego produkcji rolniczej, więc wielkością obszarów uprawnych. Dziś na pierwsze miejsce wysuwa się produkcja przemysłowa. Ale przemysł również rozwija się na pewnych obszarach, więc choć wartość obszaru ocenia się dziś bardziej nierównomiernie niż niegdyś, rozbijanie obszarów nie straciło swego politycznego znaczenia.

Dawna Polska, jak długo miała własną politykę zewnętrzną, starała się tę zasadę stosować. Przez cały okres zagrożenia ze strony Turcji, od Zygmunta Starego po Sobieskiego dążyli Polacy do zastąpienia jednego potężnego sąsiada tureckiego przez kilka państw słabszych. Wszystkie nieszczęśliwie zakończone wyprawy wołoskie naszych władców ten miały cel na oku. Najjaśniej może widać to dążenie w działaniu Jana Zamoyskiego. Nie tylko chciał on usunąć Turcję za Dunaj, ale nie chciał by na jej miejsce powstało jedno państwo mołdawskie lecz trzy, i zwalczał z tego powodu Michała Zwycięskiego (Mihai Viteazul), który zjednoczył w swym ręku na krótko ziemie dzisiejszej Rumunii.

Najklasyczniejszym wszakże przykładem historycznym jest polityka wielkiego Richelieu. Ten kardynał nie dopuścił do zwycięstwa katolickiego w Niemczech, aby nie dopuścić do zjednoczenia Niemiec pod Habsburgami. Dziełem jego życia było rozbicie Niemiec na przeszło dwa wieki, utrzymanie rozbicia Włoch i przewaga Francji w Europie na dobre kilka pokoleń. Dzieło Richelieu i wraz z nim hegemonia Francji dobiegły końca za Napoleona III. Polityka tego ostatniego, która ułatwiła zjednoczenie Niemiec i Włoch, uchodzi w historiografii francuskiej za samobójczą. Nawiasem już tylko wspomnijmy, że i polityka angielska (np. popieranie buntu kolonii hiszpańskich przeciw Hiszpanii czy stanów południowych przeciwko północnym w wojnie secesyjnej amerykańskiej) nie gardziła tą klasyczną metodą, w skali światowej.

To jest zasada ogólna. Ale czy każde państwo, gdy ma sposobność po temu, może ją stosować?

Inny polityk europejski na skalę Richelieu, ten który odrobił jego dzieło, Otto Bismarck pokonał w r. 1866 zaprzyjaźnioną z Francją Austrię. Mógł wówczas rozbić Monarchię Naddunajską, włączyć np. całość czy część jej ziem niemieckich do powstającej Rzeszy i z Węgier zrobić wasala. Nie uczynił nic podobnego i historiografia uważa to za najmądrzejszy jego czyn. Zazwyczaj uważa się, że jedyną niemal przyczyną tej polityki w stosunku do państwa Habsburgów była chęć, urzeczywistniona później, zrobienia z całej Monarchii Naddunajskiej przedłużenia Rzeszy. Nie jest to argument wystarczający. Bismarck mógł przejąć po Wiedniu kierownictwo basenem naddunajskim jednocześnie wzmacniając ogromnie własne państwo drogą aneksji. Drugim również znanym argumentem jest, że rozbicie Austrii utrudniłoby Prusom politykę sfederowania się z mniejszymi państwami niemieckimi, które los Austrii odstręczyłby od wiązania się z Berlinem. Ale i ten argument nie wyczerpuje wszystkiego. Ten sam Bismarck nie zawahał się przed aneksją sojuszników pokonanej Austrii: Hanoweru i Hesji, a los ich nie odstraszył państw południowo-niemieckich od przystąpienia do prowadzonej przez Prusy Rzeszy Niemieckiej. Za oboma bowiem tymi względami krył się głębszy motyw Bismarcka.

Prusy miały dwóch wielkich sąsiadów: Francję i Rosję. Francja była państwem narodowo jednolitym i rozbić jej nie było jak. Rosję można było próbować rozbić. Bismarck mógł teoretycznie prowadzić politykę swoich następców z czasu pierwszej wojny światowej. Powstanie polskie r. 1863 dawało świetną okazję. Zamiast jednolitej Rosji można było próbować mieć za sąsiadów znacznie słabszą Polskę, niemieckie państewka bałtyckie, może nawet Ukrainę. Polityka Bismarcka była wręcz odwrotna: w dobie kiedy cała Europa sprzyjała powstańcom polskim, udzielił pełnego poparcia Rosji przeciw Polakom i stał się strażnikiem integralności państwa Romanowów. Mówi się, że przyczyną była obawa utraty przez Prusy ziem polskich. Ten wzgląd, który Polakom na ogół wydaje się wszystko tłumaczącym, nie jest wystarczający. Niemcy było stać na utrzymanie ziem tzw. zaboru pruskiego i zrobienie z reszty Polski wasala. Przypomnijmy sobie jak najbardziej uzasadnione obawy polskie przed takim właśnie rozwiązaniem w okresie pierwszej wojny światowej. Programu Hitlera zaś chyba jeszcze nie zapomnieliśmy.

Dlaczego Bismarck nie poszedł na wschodnią politykę w rodzaju Wilhelma II i Hitlera i dlaczego te dwie późniejsze próby załamały się dla Niemiec tragicznie? Dlatego, że Niemcy miały sąsiadów nie tylko na wschodzie i południu, ale także na zachodzie, i że sąsiad zachodni był w r. 1863 znacznie silniejszy od Prus, a i później nie był do zlekceważenia. Bismarck ani na chwilę nie traci z oczu Francji. Gdyby rozbił Austrię, a tym bardziej gdyby rozbił Rosję, nie znalazłby się sam wobec nowych słabszych sąsiadów. Polityka potężnej wówczas i bogatej Francji znalazłaby drogę do Warszawy i może nad Dunaj, albo zawarłaby sojusz z Petersburgiem. To ostatnie zresztą stało się, gdy cesarz Wilhelm porzucił politykę Żelaznego Kanclerza.

Mimo, że Niemcy były jednym z najsilniejszych państw ówczesnych, nie mogły sobie pozwolić na rozbijanie wschodnich i południowo-wschodnich sąsiadów, ponieważ miały za plecami innego sąsiada, który mógł był zebrać

owoce takiej polityki albo w postaci opanowania nowych wschodnich sąsiadów Prus, jak to się stało po Wersalu, albo w postaci sojuszu z osłabionym głównym sąsiadem wschodnim, jak to się stało przed pierwszą wojną światową i jak powtórzyło się (z innym nieco sąsiadem zachodnim) w r. 1941.

Różnica między położeniem Bismarcka a Richelieu czy Zamoyskiego polegała na tym, że Richelieu już nie miał drugiego groźnego sąsiada za plecami, który by mógł mu odebrać owoce polityki rozbijania (Hiszpania była częścią niebezpieczeństwa habsburskiego), Zamoyski jeszcze nie miał takiego sąsiada (Rosja przeżywała „smutnyje wremia“), natomiast Bismarck miał za plecami Francję Drugiego Cesarstwa i nie łudził się by klęska wojskowa r. 1870 na długo pozbawiła sił Trzecią Republikę, w czym miał, jak historia wykazała, zupełną rację.

Otóż Polska naszej epoki nie jest w położeniu Polski Zamoyskiego ani Francji Richelieu. Widać już obecnie wyraźnie, że pomimo dwóch klęsk w ciągu krótkiego okresu czasu Niemcy obecne są dla Polski bardziej niebezpieczne niż Francja po r. 1871 dla Niemiec.

Nie chcę z tego bynajmniej wyciągać wniosków naiwnych, np. że Polska powinna prowadzić na wschodzie politykę Bismarcka, tj. być obrońcą integralności Rosji. Inny zupełnie jest stosunek sił Polska—Rosja w drugiej połowie wieku XX, a Prusy—Rosja w drugiej połowie wieku XIX, inny także zupełnie przedmiot sprzeczności i stopień zagrożenia. Chcę tylko wskazać na to, że podobnie jak Bismarck w swojej polityce wschodniej ani na chwilę nie zapominał o Francji, tak Polska ani na chwilę nie może zapomnieć o Niemczech. Swoboda polityki polskiej na wschodzie jest możliwa tylko jeżeliby Niemcy były na długi czas bardzo osłabione lub skrępowane. W innym wypadku zachowają się jak Francja w przeszłości: w razie rozbicia Rosji będą mogły albo zwasalizować naszych nowych sąsiadów, albo zawrzeć sojusz przeciw nam z Rosją. To ostatnie, przy istniejącym stosunku sił, musiałoby się zakończyć szybko i boleśnie dla Polski. To pierwsze nie pozostawiałoby nam innego wyboru jak sojusz z Rosją przeciwko . . . Europie.

Tutaj właśnie dochodzimy do nowych czynników, mianowicie możliwości federacji europejskiej i możliwości hegemonii amerykańskiej. W gruncie rzeczy jest to jedna nowość, ponieważ federacja europejska, jeżeli w ogóle powstanie, to tylko pod hegemonią amerykańską. Do federacji takiej jest wciąż daleko, ale załóżmy, że powstanie. Wszystko wówczas zależeć będzie od tego, kiedy powstanie i jak. Jeśli powstanie z kadłubowej Europy zachodniej, to przewagę w niej osiągną Niemcy i trudno mieć złudzenia, że polityka wschodnia takiej Europy nie będzie polityką niemiecką. Niemcy w każdym razie już na zapas do takiego rozwoju wydarzeń się przygotowują. W takim razie kłopot zachodniego sąsiada wystąpi dla Polski w zwiększonych jeszcze rozmiarach, problem zaś krępowania Niemiec przez inne państwa związku europejskiego nie będzie łatwiejszy lecz trudniejszy od problemu hamowania ich przez innych sąsiadów — bez federacji.

Odmiennie przedstawiałaby się sprawa gdyby zjednoczenie Europy nastąpić miało po wyzwoleniu jej wschodniej części z niewoli sowieckiej i gdyby miała ta ewentualna Europa objąć Niemcy, Polskę i nowe państwa na wschód od Polski, nie objąć natomiast Rosji właściwej. Wówczas prawdopodobnie nie groziłoby niebezpieczeństwo sojuszu niemiecko-rosyjskiego, a niebezpieczeństwo zwasalizowania nowych wschodnich sąsiadów Polski przez Niemcy zależałoby od tego w jakim stopniu taka Europa byłaby amerykańska, w jakim niemiecka i jaki byłby stosunek sił gospodarczych (w czym się mieści implicite całe zagadnienie granicy) między Niemcami a Polską.

Ale tu już weszliśmy w niebezpieczny w publicystyce tryb warunkowy, który ma to do siebie, że posiada niezliczoną ilość odmian. Przy tym jest to tryb warunkowy nierealny, to znaczy, że wszystkie decyzje zasadnicze w kluczowym zagadnieniu urządzenia obszaru Eurazji zapadłyby przy minimalnym udziale Polaków. Bezpieczniej więc trzymać się trybu oznajmującego w czasie przeszłym i teraźniejszym. W tym trybie stawiać trzeba łącznik nie przecinek między sprawą niemiecką, a sprawą wschodnią.

DWIE REWOLUCJE

WYDARZENIA na Bliskim i Środkowym Wschodzie otacza zazwyczaj mgła pewnego egzotyzmu i zagadkowości. Nie zawsze wiadomo, co oznaczają wybuchające tam znienacka pseudorewolucje, pucze wojskowe, gwałtowne zmiany na stanowiskach szefów państw i kierowników rządów. Przeciętny czytelnik gazet skłonny jest dopatrywać się w przewrotach, o których wieści przynoszą mu pisma poranne, skutków zakulisowego działania sił obcych, walczących o utrzymanie czyjejś sfery wpływów lub osłabienie wpływów przeciwnika. Hic fecit cui prodest. Mogą to być czasem długie ręce sowieckie, zawsze skłonne do łapania ryb w mętnej wodzie, czasem inne czynniki działające z ukrycia. Lecz najczęściej domniemane wpływy obce splatają się z niezdrową strukturą polityczną i społeczną krajów arabskich, z rywalizacją i ambicjami przywódców. Ostatnie wypadki w Egipcie i Syrii są pod tym względem symptomatyczne.

WYDARZENIA W EGIPCIE

Przypomnijmy pokrótce przebieg nieudanej rewolucji pałacowej w Kairze. Wczesnym rankiem 25 lutego zdumiona ludność stolicy Egiptu dowiedziała się, że generał Mohammed Neguib, dotychczasowy prezydent republiki, przewodniczący dwunastoosobowej Rady Rewolucyjnej i szef rządu, zrzekł się wszystkich godności i został internowany w swej willi prywatnej pod strażą wojskową, urząd zaś premiera i przewodniczącego rady objął po nim pułkownik Abdul Nasser, właściwy inicjator rewolty wojskowej, która zmusiła do abdykacji króla Faruka. Major Salah Salem, egipski minister propagandy, wyjaśnił przy tym, że gen. Neguib, który nie odegrał żadnej roli w detronizacji b. monarchy Egiptu i przyłączył się do ruchu rewolucyjnego dopiero w parę tygodni później, zaczął z biegiem czasu domagać się coraz większej dla siebie władzy. Ostatnio skierował on do Rady Rewolucyjnej ultimatum, żądając przyznania mu prawa weta w stosunku do uchwał rady, prawa mianowania i zwalniania ministrów oraz dowódców wojskowych i grożąc ustąpieniem w razie nieuwzględnienia tych żądań. Rada Rewolucyjna, po długiej sesji nocnej, chciała jakoby wyrazić gotowość rezygnacji ze swych uprawnień na rzecz Neguiba, lecz nie zgodziło się na to „ogólne zebranie wolnych oficerów“, tzn. klub oficerski w Kairze, który przed półtora ro-

kiem rzucił hasło buntu przeciw Farukowi. Rada zmuszona była zatem przyjąć dymisję Neguiba. „Mogliśmy go zabić — dodał mjr Salem — lecz chcieliśmy mieć czyste ręce.“ Neguib w jego ujęciu był żądnym władzy osobistej hipokrytą i autoreklamiarzem.

Bezpośrednią przyczyną konfliktu była, jak się zdaje, mowa Neguiba, w której zaatakował on ostro pakt między Turcją a Pakistanem. Nasser uznał, że mowa ta sprzeciwia się polityce junty oficerskiej i drastycznie ją ocenzurował.

Następne dwa dni upłynęły spokojnie, choć w nastroju niepewności i oczekiwania. Neguib zachowywał się biernie w swej willi, lecz przyszły niepokojące wieści z Sudanu o demonstracjach w Chartumie na rzecz złożonego z urzędu generała, a nadto okazało się, że lojalność wojska jest podzielona. Artyleria była po stronie junty, korpus kawaleryjski natomiast i straż graniczna po stronie Neguiba. Major Khaled Mohieddin, członek junty, złożył wizytę Neguibowi i został aresztowany. Egipt stanął w obliczu zbrojnego starcia między dwoma odłamami wojska.

Wtedy przemówiła ulica. Na placach Kairu zaczęły gromadzić się tłumy, demonstrujące przeciw juncie i wznoszące okrzyki na cześć generała. Rada Rewolucyjna zebrała się na sesję nadzwyczajną i postanowiła wysłać do Neguiba parlamentariusza z zapytaniem, czy zgodzi się objąć ponownie urząd prezydenta republiki, pozostawiając Nassera na urzędzie szefa rządu. Neguib odpowiedział twierdząco.

Zapanowała powszechna radość. Na posiedzeniu Rady Rewolucyjnej Neguib i członkowie junty prześcigali się w objawach wzajemnej kurtuazji. „Takie rzeczy zdarzają się we wszystkich rewolucjach — oświadczył Neguib. Był to po prostu spór w rodzinie. Dzięki Allachowi został załatwiony.“

Lecz ulica została rozkołysana, a czwartego dnia zaczęli działać wśród tłumów agitatorzy rozwiązanej partii wafdystów, bractwa muzułmańskiego i komunistów. Radosny niedawno tłum zaczął wznosić wrogie okrzyki przeciwko rządowi, wybuchły rozruchy, padło dwanaście ofiar.

Restytuowany na swym urzędzie Neguib udał się w zamierzoną poprzednio podróż do Sudanu, lecz i tu spotkała go niespodzianka w postaci krwawej demonstracji wojowniczych plemion Ansaru, przeciwnych oddaniu Sudanu pod władzę Egiptu. W starciach z policją padły po obu stronach liczne ofiary.

NOWA FAZA

Wypadki z końca lutego zapoczątkowały nową fazę w rządach republikańskich Egiptu. Wypadki te wzmocniły prestiż Neguiba, osłabiły pozycję polityczną junty. Nasser, mocny człowiek reżimu i spiritus movens rewolucji, wykazał duży brak doświadczenia politycznego, wyobrażając sobie, że można przez półtora roku budować popularność przywódcy w masach, a potem uznać go z dnia na dzień za hipokrytę i ambitnego niedołęgę. Tylko w Rosji Sowieckiej masy niczemu się nie dziwią.

Neguib zawdzięcza zresztą swą popularność nie tylko propagandzie, lecz także swej jowialności, tak kontrastującej z obyczajami władców orientalnych oraz reformom jakie przeprowadzono pod jego egidą. Do tych reform należą uporządkowanie finansów, zerwanie z katastrofalną polityką eksportu bawełny, przyciągnięcie zagranicznego kapitału inwestycyjnego. Powrócił on zatem do władzy jako filar rewolucyjnego reżimu, ale władzę tę drastycznie ograniczono. Nasser pozostał szefem rządu i przewodniczącym Rady Rewolucyjnej; Neguib — jak oświadczył 7 marca rzecznik tej Rady — „nie ma prawa przemawiać w imieniu rządu ... musi on pozostać całkowicie neutralny i nie faworyzować nikogo... nie może się mieszać do polityki“. Kandydatowi na dyktatora pozostawiono więc funkcje wyłącznie reprezentacyjne. Powstała sprzeczność nie do utrzymania między pozycją osobistą Neguiba, a zakresem pozostawionej mu władzy. Sprzeczność tę zrozumiała junta już dnia następnego: 8 marca Neguib odzyskał urząd pierwszego ministra i przewodniczącego Rady Rewolucyjnej, na tym ostatnim urzędzie mają go jednak wiązać nadal uchwały większości. Nasser wrócił na stanowisko wicepremiera.

Lutowy coup d'état okazał się zatem burzą w szklance wody: pozornie wróciło wszystko do dawnego stanu. Pozostały wszakże zawiedzone ambicje Nassera i tylko połowicznie zaspokojone ambicje Neguiba. Każdy z nich ma zwolenników w rewolucyjnym kolegium; fermenty, które w końcu lutego groziły rozsadzeniem grupy rządzącej, zostały jedynie przytłumione. Junta wykazała dosadnie światu swą słabość wewnętrzną.

BRAK DOKTRYNY POLITYCZNEJ

Chodzi jednak nie tylko o skłócenie wewnętrzne junty. Na jej dobro trzeba zapisać fakt, że jej członkowie nie mordowali się wzajemnie, przeprowadzając swój groteskowy zamach w sposób niezwykle kulturalny i świecąc pod tym względem niedościgłym przykładem swym odpowiednikom sowieckim. Ujemną stroną półtorarocznych rządów Rady Rewolucyjnej jest za to brak jakiejkolwiek doktryny politycznej. Chciała ona rządzić nie w oparciu o zorganizowane grupy społeczne, wyznające pewien program polityczny, lecz wyłącznie w oparciu o wojsko. Oparcie to mogło od biedy wystarczać, gdy w łonie junty istniała jedność, stało się fikcją, gdy się zjawiły rozdźwięki.

Rada Rewolucyjna proklamowała w Egipcie po dojściu do władzy republikę parlamentarną i rozwiązała jednocześnie parlament. Ogłosiła, że dąży do demokratyzacji ustroju i rozpoczęła walkę z partiami politycznymi, co prawda przeżartymi korupcją, aresztując i więżąc ich wpływowych przywódców i nie troszcząc się o zorganizowanie społeczeństwa w imię jakiegoś ogólnego programu przebudowy politycznej i społecznej. Nie wpadła nawet na myśl, aby utworzyć jakieś egipskie wydanie BBWR bądź Ozonu. W rezultacie zawisła w pustce, trapiona niezgodą, zazdrosna o swą władzę, ale jej niepewna.

Niewiele zmienia w tej sytuacji zapowiedź zwołania konstytuanty; realizację tej zapowiedzi rozpoczęto od ponownych aresztowań przywódców politycznych i od oświadczenia, że niekontrolowana władza junty ma trwać przynajmniej do r. 1956, tzn. do czasu, gdy zacznie działać parlament wybrany na zasadzie nowej konstytucji. Egipt ma jeszcze daleką drogę przed sobą do parlamentarnej demokracji i wiele napotka zapewne na tej drodze niespodzianek.

SENS GŁĘBSZY

Wydarzenia w Egipcie są jednak bardzo pouczające. Stanowią one dobitną ilustrację nietrwałości zbiorowej dyktatury. W pojęciu dyktatury tkwi jedność woli i decyzji. Jedność ta prędzej czy później przestaje istnieć tam.

gdzie władzę dyktatorską sprawuje kolegium; przyjęcie zasady rozstrzygania większością otwiera drogę grze namiętności i ambicji politycznych. Dyktatura jest niepodzielna. Kolegium obdarzone nieograniczoną władzą może się stać jedynie parawanem dla władzy jednostki, wyrosłej ponad głowy współrządzących, bądź źródłem wstrząsów prowadzących do załamania ustroju.

Znamienność egipskiego przykładu polega na tym, że i w Rosji Sowieckiej istnieje wszak po śmierci Stalina system „rządów kolektywnych", tj. kolegialnej dyktatury. Analogia chybia wprawdzie pod tym względem, że przywódcy sowieckiej grupy rządzącej są bez porównania wytrawniejsi od nieopierzonych członków egipskiej junty rewolucyjnej i że nie popełnili błędu opierania się wyłącznie na wojsku: ujęli oni masy sowieckie w karby dobrze zorganizowanej i świadomej swych celów partii. Lecz istota rzeczy pozostaje ta sama. Egipt jest za to w korzystniejszej sytuacji pod innym względem: ma kandydata na dyktatora w postaci Neguiba, podczas gdy w Moskwie jednego kandydata szybko rozstrzelano, innych nie widać, a przynajmniej nic o nich nie wiemy.

SYRIA

Wydarzenia w Syrii mają z wydarzeniami w Egipcie tę wspólną cechę, że były również puczem wojskowym. Syria w okresie rządów prezydenta Sziszaklego była ustrojem kryptodyktatury, sprawowanej pod firmą instytucji demokratycznych. Pułkownik Sziszakly objął władzę przed czterema laty, wkraczając na czele wojska do Damaszku i ogłaszając oswobodzenie kraju od rzekomego despotyzmu ówczesnego prezydenta, 85-letniego starca, Haszem Bej Atassi. W lipcu zeszłego roku nadał on Syrii nową demokratyczną konstytucję, zarządził fałszowane wybory do parlamentu i dał się wybrać prezydentem. Był to władca energiczny i zdołał dokonać w swym zacofanym kraju kilku pożytecznych reform, jak reformy podatkowe i zaczątki reformy rolnej, ograniczenie samowoli biurokracji i ujęcie w karby przywódców szczepów arabskich. Lecz reformy te i autorytatywny system rządów zraziły do niego wpływowe koła syryjskie; szesnaście razy dokonywano na niego zamachów, aż wreszcie, w końcu lutego, przyszedł koniec jego rządów. Pewien kapitan w Aleppo aresztował miejscowego komendanta, opanował ze swoim oddziałem radiostację i rzucił hasło buntu przeciwko dyktatorowi. W ciągu kilku godzin rebelia ogarnęła dużą połać kraju i Damaszek został okrążony. Sziszakly odwołał się do podległych sobie dowódców wojskowych, a gdy ci odmówili pomocy, zwołał oddany sobie parlament. Gdy jednak stało się jasne, że sytuacja jest nie do uratowania, ogłosił swą rezygnację, oświadczając, że czyni to dla uniknięcia przelewu krwi wśród ludu syryjskiego, który kocha, po czym odleciał samolotem do Libanu. Tymczasem rebelianci w Aleppo proklamowali powrót do władzy Atassiego, złożonego przed czterema laty z urzędu prezydenta, parlament zaś w Damaszku ogłosił, że prezydentem konstytucyjnym zostaje Maahmoun el Kuzbari, przewodniczący parlamentu. Część wojska wypowiedziała się za pierwszym, część za drugim prezydentem, groził wybuch wojny domowej, lecz rozstrzygnęły sprawę demonstracje uliczne, w czasie których zdemolowano parlament i pobito wielu posłów. Zwolennicy Sziszaklego zrezygnowali wówczas z oporu i prezydentem Syrii został po raz trzeci 89-letni Haszem Bej Atassi. Był to jednym słowem zamach majowy à rebours.

CUI PRODEST?

Zamach stanu można uważać za normalny tryb rozwiązywania kryzysów rządowych w ustroju nie uznającym alternatywy politycznej w postaci legalnej opozycji. Gdy konstytucja parlamentarna jest tylko papierową formułką, a parlament teatrem marionetek uległych woli dyktatora, opozycja może dochodzić swych praw jedynie siłą. W warunkach zorganizowanego terroru jest to niemożliwe, lecz terror wymaga istnienia sprawnej policji politycznej, obozów koncentracyjnych i rozgałęzionej sieci szpiegowskiej. Są to warunki trwałości współczesnej dyktatury, do których państwa Środkowego Wschodu jeszcze nie dorosły.

Państwa te nie dojrzały też, jak się zdaje, do demokracji; czynnikiem politycznym jest w nich wojsko, czynnik zawodny, bezprogramowy i nieobliczalny. Wszystko to wytwarza chaotyczność stosunków w tym newralgicznym punkcie świata, potęgowaną przez nie załatwiony wciąż spór państw Ligi Arabskiej z państwem Izraela. Tymczasem dochodzi do skutku sojusz pobliskiego Pakistanu z Turcją i amerykańska pomoc zbrojeniowa dla Pakistanu, zamykająca system baz wojskowych okrążających Rosję. Wywołało to zapewne wzmożenie reakcji sowieckiej w postaci szerzenia zamętu w tej części Azji i stwarzania podłoża do nowych zaognień wśród świata muzułmańskiego.

Kto zatem odnosi korzyść z ujawnionej słabości Egiptu? Mogłoby się pozornie wydawać, że Wielka Brytania w swym przeciągającym się sporze o Suez i Sudan. Lecz trzeba pamiętać, że im reżim słabszy, tym usilniej kieruje fermenty masowe na zewnątrz, widząc w ksenofobii odtrutkę na trudności wewnętrzne. Pomyślne dla Egiptu załatwienie sprawy Suezu jest dla rządu Neguib-Nasser kwestią życia i śmierci. W tym znaczeniu los tego rządu jest w rękach brytyjskich. Czy wszakże jego upadek wyjdzie na korzyść Wielkiej Brytanii?

Komu przynosi korzyść chaos w Syrii? W rozruchach przeciw Sziszaklemu brali udział komuniści. Oni wygrywają ostatecznie na każdym pogłębieniu chaosu i każdej słabości.

Glossator

CZEMU NIE MOŻE SŁUŻYĆ ZJEDNOCZENIE

MOŻNA przypuszczać, że dobiegają kresu prace nad zjednoczeniem politycznym. Że ucichnie burza demagogii, kruczków i wrzasku tych licznych postaci, które jedności polskiej nie chciały i wszystkimi siłami przeciw niej się broniły, oraz że długi i nad miarę cierpliwy wysiłek tych, którzy do jedności naprawdę dążyli zostanie uwieńczony powodzeniem.

Dziś gdy jedność przyobleka się w szaty rzeczywistości, czas powiedzieć, że słowo jedność bynajmniej nie jest czymś magicznym i cudownym, bynajmniej nie stanowi panaceum ani cudownego lekarstwa na wszystkie nasze potrzeby. Od jedności do zbudowania niepodległego państwa droga jest bardzo daleka i trudna. Prawda, zjednoczenie ułatwia znacznie kroczenie po tej drodze i większe czyni możliwości pomyślnego dobrnięcia do celu. Ale nie jest i być nie może celem samym w sobie.

Obok wielkich, historycznych ruchów politycznych, posiadających od dziesiątek lat szerokie oparcie w społeczeństwie w kraju i od czasów wojny także wśród emigracji w wolnym świecie, w ramach zjednoczenia znajdą się również grupy, które nie miały jeszcze możności wypróbować swej atrakcyjności w normalnych warunkach życia politycznego. Oprócz nich znajdą się w ramach jedności przedstawiciele dawnego obozu sanacyjnego, o tradycji zwalczania wszelkich niezależnych ruchów politycznych. Jeśli ruchy polityczne z prawdziwego zdarzenia zgodziły się na to, by jedność obejmowała i siły będące w dużej mierze fikcją, to uczyniły to w imię

tego, by głos polski w wolnym świecie brzmiał jednolicie i był wobec obcych wypowiadany przez jedne tylko usta.

Jedność nie może w żadnym wypadku służyć utrzymaniu i ugruntowaniu wrażenia, że grupy te mają jakieś poważniejsze poparcie wśród społeczeństwa. Zasięg wpływów wszelkich obozów politycznych w narodzie jest rzeczą niemożliwą do ustalenia na emigracji, zwłaszcza zaś w jednym tylko kraju emigracji. Niczego też w tej mierze nie potrafią powiedzieć wybory, choćby najbardziej uczciwie i demokratycznie przeprowadzone. Gdy jesteśmy od narodu w kraju oddzieleni żelazną kurtyną i gdy stanowimy rozproszone po świecie wychodźstwo, wtedy ani czas, ani miejsce odpowiednie na to, by tworzyć rządy oparte o rzeczywiste i sprawdzalne drogą wyborów poglądy społeczeństwa. Można określić je w przybliżeniu i z pewną dozą prawdopodobieństwa, niepodobna określić ściśle. I zjednoczenie polityczne może chwilowo, w imię celu któremu ma służyć, obejmować w proporcji nie odpowiadającej rzeczywistości pewne siły polityczne. Nie znaczy to jednak, by mogło się ono dla nich stać odskocznią i bazą do zwiekszania wpływów na politykę, dopóki prawdziwa próba sił w wolnym kraju zasięgu ich nie określi.

Liberalizm stronnictw politycznych w dopuszczaniu do zjednoczenia innych grup tłumaczyć należy nie słabością stronnictw, lecz przekonaniem, że nie jest wielkim nieszczęściem nawet niezbyt ściśle odpowiadający układowi sił polityczych skład polskiego przedstawicielstwa politycznego w wolnym świecie. Znacznie ważniejsze jest to, by przedstawicielstwo było tylko jedno, niż to, czy odpowiada ono ściśle co do litery poglądom narodu. Dla celów polityki polskiej zagadnieniem głównym jest skuteczność walki o odbudowę niepodległego państwa. Można być liberalnym w określaniu składu przedstawicielstwa politycznego Polski na emigracji, skoro dopiero w wolnym kraju układ sił politycznych zostanie poddany prawdziwej próbie życia. Stronnictwa, nie obawiające się o wynik tej próby, mogą na emigracji łączyć się we wspólnej walce także z grupami, nawet nie mającymi oparcia w społeczeństwie w kraju.

Ale zjednoczenie nie może służyć tym grupom do budowania tezy, że oto stanowią one taki czy inny procent sił politycznych polskich, ponieważ w takiej czy innej proporcji uczestniczą w pracach rządu i Rady Jedności Narodowej na emigracji. Nie może również zjednoczenie służyć ułatwianiu takiej roboty, jaką niektóre ugrupowania polityczne uprawiały w czasach wojny w kraju, korzystając ze swej chwilowej pozycji we władzach Rzeczypospolitej na wygnaniu.

Rząd gen. Sikorskiego nie był nigdy prawdziwym rządem jedności narodowej, mimo że nazwą tą chętnie się posługiwał wobec swoich i obcych. Był to rząd o widocznej przewadze jednej grupy i grupa ta, często z wyraźnym pominięciem i wbrew interesom ogólnopolskim, prowadziła na emigracji, a zwłaszcza w kraju robotę wyłącznie w interesie partykularnym swego stronnictwa, któremu przewodzili podówczas ministrowie Kot i Mikołajczyk. Doświadczenia te nie mogą się powtórzyć obecnie. Żadna grupa polityczna, korzystając z chwilowego posiadania w swych rękach pewnych resortów rządowych, nie może nadużywać tego faktu do stwarzania sobie odskoczni dla walki z innymi grupami. Zjednoczenie ma służyć nie walce ruchów politycznych w sprawach, w których się różnią, lecz ich współpracy w sprawach, w których są zgodne. Inaczej wewnątrz samej jedności trwałaby zażarta walka, która by uniemożliwiała skuteczną i zgodną walkę Polski na zewnątrz.

Zjednoczenie wreszcie nie jest i być nie może uważane za jakiś nowy, o epokowym znaczeniu rozdział w polityce polskiej tak, jak gdyby tej polityki dotychczas w ogóle nie było. Będzie to rozdział nowy, to prawda, korzystniejszy, to również prawda, ale nie będzie to ani coś magicznego, co za jednym zamachem uleczy wszystkie nasze bolączki, ani coś cudownego, co pozwoli nam natychmiast pakować manatki, by wracać do wolnej Polski. Po zjednoczeniu nie należy oczekiwać zbyt wiele, aby nie spotkać się później z rozczarowaniem. W pracach politycznych, jakie podejmą władze zjednoczonego społeczeństwa polskiego ważny będzie zarówno dorobek tego, co już w dziedzinie politycznej zostało ze strony polskiej dokonane, jak i to, co poszczególni uczestnicy jedności wnoszą jako kapitał dla pracy politycznej w przyszłości. Ważne będą doświadczenia i kontakty, istniejące już obecnie na terenie międzynarodowym, a zdobyte latami pracy politycznej głównie przez komórki i organy Rady Politycznej w różnych krajach świata. Ważny będzie i problem stworzenia własnych, polskich podstaw finansowych działalności politycznej przez uczynienie ze Skarbu Narodowego instytucji istotnie ogólnopolskiej. Ważne będzie wszystko, cokolwiek pozytywnego i wartościowego dla sprawy polskiej wnieść będzie mógł do zjednoczenia którykolwiek z partnerów jedności. Ważne będzie przede wszystkim to, z jak wielkim zasobem dobrej woli gromadzić się będą przy wspólnej pracy poróżnieni dotychczas Polacy.

Zjednoczenie ma służyć skuteczniejszej walce polityki polskiej w wolnym świecie o zrzucenie jarzma niewoli komunistycznej i odbudowę niepodległej Polski. To jest jedyny sens i cel zjednoczenia, które ma nastąpić. Nie może ono być celem samym w sobie, nie może także być niczyim narzędziem służenia partykularnym interesom, nie może być forma wewnętrznej walki i podstawiania sobie nóg jednemu przez drugiego. Nie może wreszcie służyć osobistej chwale i popularności żadnej jednostki ani grupy.

Kilkoletnie doświadczenia Rady Politycznej wskazują, że poważne, nawet biegunowe różnice programowe stronnictw nie przeszkadzają bynajmniej prowadzeniu jednolitej polityki polskiej na terenie międzynarodowym. W ramach jedności jaka się obecnie dokonuje, nie ma kierunków programowo bardziej się od siebie różniących niż stronnictwa Rady Politycznej, które od lat potrafiły znaleźć wspólny język w sprawach interesów Polski. Trudności więc w zakresie lojalnej współpracy nie powinno być żadnych.

Wydarzenia polityczne na szerokim świecie dojrzewają powoli, ale stale do decydujących rozstrzygnięć, decydujących także dla Polski. Jest dobrze, że w tym momencie pojawia się jeden obejmujący niemal wszystkich ośrodek polityki polskiej. Zadania tego ośrodka będą olbrzymie, jego egzamin życiowy bardzo trudny. Zadania te osiągnąć można najlepiej i egzamin życiowy zdać można najpewniej wówczas, jeśli nikt nie będzie podejmował prób czynienia niczego, co z duchem zjednoczenia nie jest zgodne i czemu zjednoczenie służyć nie może.

Tadeusz Borowicz

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

PROGRAM KLĘSKI

Herbert Butterfield: CHRISTIANITY, DIPLOMACY AND WAR. The Epworth Press. Londyn 1953. Stron 125.

Autor jest profesorem historii nowożytnej na uniwersytecie w Cambridge. Zaraz na wstępie prezentuje się jako wierzący chrześcijanin, świadomy swego obowiązku przyczyniania się do rozwiązania problemów światowych odrzucając przy tym konwencjonalne, szablonowe rozumowania. Nie znaczy to wszakże, by nie szanował on głosu tradycji chrześcijańskiej, która nagromadziła bogaty zasób mądrości w sprawach światowych. Pewne założenia tej tradycji doktryny chrześcijańskiej, odnoszące się do spraw międzynarodowych, po sekularyzacji jaka dokonała się w postawie umysłowej społeczeństw europejskich, weszły w skład tradycji dyplomacji europejskiej, o czym się niekiedy zapomina. Z drugiej strony chrześcijanin nie jest związany z konkretnymi ustrojami czy schematami myślowymi wynikającymi z pewnych systemów narodowych, partyjno-politycznych czy społecznych, bo ma wzrok skierowany ku wartościom absolutnym i rozumie dystans dzielący je od przejściowych spraw doczesnych. W ten sposób zachowuje niezależność sądu i elastyczność w akcji. Jakkolwiek cywilizacja europejska przesycona jest pierwiastkami chrześcijańskimi, jednak wiele zasad doktryny chrześcijańskiej zawisło niejako w powietrzu i nie są one stosowane w życiu codziennym — należy tu sprawy miłości bliźniego, pokory, stosunek do osobowości ludzkiej itd. Kierując myśl ku tym sprawom, chrześcijanin spełnia doniosłą rolę, wzbogaca zawartość naszej cywilizacji i podnosi jej poziom.

Dalej autor podkreśla potrzebę lepszego zrozumienia strony przeciwnej w stosunkach międzynarodowych; zdaje on sobie sprawę, ile oporów przy tym trzeba pokonać. A chrześcijanie szczególnie są powołani do podjęcia tej misji, jako że ich stosunek do ludzi oparty jest na zasadzie miłości i braterstwa.

Pierwsza wojna światowa nauczyła ludzi rozumieć, iż pod powłoką cywilizacji ukrywa się brutalność, chciwość i krwiożerczość. Odtąd też groźba wojny totalnej stała się zjawiskiem stale obecnym; wreszcie ruchy rewolucyjne przerywały ciągle procesy wymagające czasu i stałości dla swego rozwoju. Świat powoli i nieuchronnie zaczął się staczać na poziom barbarzyństwa. Źródło wszelkiego zła współczesnego tkwi w wielkiej wojnie 1914-1918 r. Biorą początek z tego faktu rewolucja bolszewicka i powstanie takich ruchów jak faszyzm i hitleryzm, nawet druga wojna światowa. Zadecydował o tym znaczeniu charakter tej wojny, która nie stawiała sobie ograniczonych celów, lecz zmierzała do obalenia istniejącego porządku międzynarodowego. Podsuwanie motywów moralnych, nadanie jej charakteru „wojny dla zakończenia wojen“ rozbudziło histerię i fanatyzm, które z wojny tej uczyniło źródło tylu złowrogich i zabójczych dla cywilizacji zachodniej procesów w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Autor przytacza inne przykłady wojen podejmowanych w imię sprawiedliwości czy szerzenia pewnych ideałów, które miały charakter szczególnie destruktywny. Wystarczy tu wspomnieć o wojnach religijnych XVI w. Zgodnie z tradycją chrześcijańską jedynie usprawiedliwiona jest wojna w samoobronie. Autor stara się wykazać, iż wojny, których celem jest pokonanie zła i niegodziwości w świecie raczej przyczyniają się do spotęgowania tego zła w innej postaci. Świadomość, iż człowiek jest grzeszny i że nikt z tego kręgu grzeszności się nie wydobywa nakłada tłumik na zbyt żywą działalność polityczną. Chrześcijanie nie mogą się poczytywać za sprawiedliwych walczących z niegodziwcami, nie mogą zajmować stanowiska faryzejskiego. Autorowi wydaje się, że wojny przybrać muszą szczególnie okrutny charakter w miarę jak poszczególne narody przywłaszczać sobie będą prawo sądzenia moralności i zachowania się innych narodów, wydawać wyroki na nie i karać zło dostrzeżone. Autor co prawda następnie kwalifikuje nieco swoje twierdzenie. Mówi on, że wszystko to nie znaczy, by chrześcijanin miał tolerować okrucieństwo i zadawanie cierpień. Winien jednak liczyć się z tym, co jest możliwe do przeprowadzenia, by usunąć to zło. Nie powinien się też kierować duchem mściwości.

W ogóle jednak obserwujemy w wywodach Butterfielda pewną skłonność do zamazywania wyraźnie określonych konturów pewnych zjawisk. Hitler mógł uprawiać swoją zbrodniczą działalność dzięki akumulacji drobnych grzeszków i odchyleń od obowiązków wielu, wielu ludzi i to nie tylko w narodzie niemieckim, ale i spośród innych narodów. W stosunkach ludzkich ogólnie, a również w stosunkach międzynarodowych doktryna o odpuszczeniu grzechów winna być stosowana dla ratowania samej cywilizacji. Autor zaleca kierunek tolerancji i wyrozumiałości (zaznaczmy mimochodem, że szczególnie wobec Niemiec).

W konkluzji swych wywodów domaga on się zarzucenia wszelkiej myśli o wojnie w imię sprawiedliwości oraz odrzucenia zarówno rewolucji, jak samej wojny jako narzędzi zapewnienia zwycięstwa dobrej sprawie. Oznaczałoby to odmowę rozpoczęcia wojny, o ile by się nie było do niej zmuszonym, a wtedy prowadziłoby się ją tylko tak długo, jak przeciwnik by sobie tego życzył lub tak długo, jak to jest konieczne dla utrzymania porządku, do którego jest się przywiązanym. „Nie będzie naszym zadaniem dokonać obalenia ustroju istniejącego już w innych krajach... szczególnie ponieważ wiemy, że zniszczenie komunizmu jest rzeczą wielce nieprawdopodobną, cokolwiek może się przydarzyć Rosji“ — pisze autor na str. 123.

Program wysuwany przez Butterfielda w imię rzekomo zasad chrześcijańskich sprowadza się więc do postawy tołstojowskiej niesprzeciwiania się złu, do zamknięcia w swojej skorupie i obrony tych wartości, które uważa się za ważne w życiu, tylko w wypadku bezpośredniego zaatakowania. Kierunek zalecany przez historyka angielskiego nie bardzo zgodny jest z tendencjami bardziej aktywnej jednak polityki amerykańskiej, kierującej się nie tylko względami na interes własnego narodu, ale i motywami natury moralnej.

(m. ost.)

PRECEDENS KRETY

Jan Stanisław Dutkowski: UNE EXPERIENCE D'ADMINISTRATION INTERNATIONALE D'UN TERRITOIRE: L'OCCUPATION DE LA CRETE (1897—1909). Editions A. Pedone. Paryż 1953. Stron 141.

Praca dr Dutkowskiego jest nową pozycją wśród coraz większego polskiego dorobku naukowego na emigracji. Choć temat jej może wydawać się w pierwszej chwili przebrzmiały, w rzeczywistości jest aktualny, gdyż wiąże się z szeregiem zagadnień dotyczących międzynarodowego zarządu terytoriów w ogólności. Autor słusznie traktuje zarząd Krety przez państwa koncertu europejskiego jako ważny precedens w rozwoju prawa międzynarodowego. Jego doświadczenia wywarły wpływ na niektóre posunięcia i instytucje Ligi Narodów oraz ONZ, a pod wieloma względami był on analogiczny do sy-

tuacji w Niemczech w latach 1945—1948. Wartość książki dla interesujących się prawem międzynarodowym uwypuklona została w przedmowie pióra prof. Suzanne Bastid.

Jak wiadomo, prześladowania i masakry ludności chrześcijańskiej na Krecie przez Turków i powstania Greków skłoniły wielkie mocarstwa do interwencji i obsadzenia wyspy swoimi wojskami. Z imprezy tej Niemcy i Austro-Węgry wkrótce się wycofały, ogłaszając désinteressement i pozostawiając wolną rękę innym czterem państwom koncertu europejskiego. Akcja wielkich mocarstw, stopniowo pozbawiając Turcję wykonywania jej praw suwerennych na Krecie, przygotowała grunt do połączenia się wyspy z Grecją, co ostatecznie nastąpiło w 1913 r.

Autor nie analizuje jednak wypadków historycznych, które doprowadziły do tego rozwiązania sprawy kreteńskiej. Interesuje się jedynie zagadnieniami prawa międzynarodowego, związanymi z 12-letnią okupacją wyspy. Szereg autorów interwencję wielkich mocarstw na Krecie uznało za trudną do pogodzenia z tradycyjnymi zasadami prawa międzynarodowego, ponieważ jej cel przekraczał ramy działalności koniecznej dla pacyfikacji kraju i utrzymania porządku publicznego. W istocie państwa koncertu europejskiego przejęły stopniowo cały zarząd wyspy, działając przez Komisję Konsulów, Radę Admirałów, Konferencje Ambasadorów w Konstantynopolu i Rzymie, oraz Wysokiego Komisarza; jednocześnie do coraz większego głosu dopuszczano ludność miejscową, której autonomia była głównym celem okupacji. Przez cały okres od 1897 do 1909 r. suwerenność Turcji nad Kretą była zasadniczo całkowicie uznana. Operując klasycznymi pojęciami tradycyjnego prawa narodów można powiedzieć, że sytuacja przedstawiała ciekawy przykład wykonywania przez organy międzynarodowe suwerenności nad terytorium, przynależnym do suwerennego państwa.

Wytłumaczenie tego zjawiska w świetle klasycznej teorii prawa międzynarodowego jest najłatwiejsze przez zastosowanie fikcji zgody Porty Ottomańskiej na akcję wielkich mocarstw. Poza tą fikcją, w interpretacji dr Dutkowskiego, kroki przedsięwzięte przez wielkie mocarstwa mogły być rozumiane jako zgodne z prawem narodów na podstawie traktatu paryskiego z 1856 r. i berlińskiego z 1878 r. oraz na podstawie zasady „interwencji ludzkości". Traktaty gwarantowały niezależność i nietykalność terytorialną Turcji. Powstania ludności greckiej na Krecie mogły nietykalności tej zagrażać i dlatego akcja mocarstw mogła w świetle traktatów być uważana za uzasadnioną. Prócz tego w traktacie berlińskim Porta zobowiązała się do udzielenia Krecie autonomii, niewykonanie tego zobowiązania usprawiedliwiło interwencję innych sygnatariuszy traktatu.

Książkę dr Dutkowskiego przeczyta z zainteresowaniem prawnik, historyk, polityk i w ogóle każdy, komu nie są obojętne zagadnienia zbiorowego życia.

Wieńczysław Wagner

KSIĄŻKI VERITASU

Jan Guareschi: MAŁY ŚWIAT DON CAMILLA. Tłumaczył z włoskiego Jan Bielatowicz. Z przedmową ks. Waleriana Meysztowicza. Veritas. Londyn 1954. Stron 200. Cena 15/-.

Gilbert Keith Chesterton: KRÓTKA HISTORIA ANGLII. Przełożył z angielskiego Adam Doboszyński. Veritas. Londyn 1953. Stron 220. Cena 15/-.

I. M. Bocheński O. P.: SZKICE ETYCZNE. Zebrał i ułożył Adam Bocheński. Veritas. Londyn 1953. Stron 212. Cena 15/-.

Tadeusz Felsztyn: ŚWIAT W OCZACH WSPÓŁCZESNEJ NAUKI (Najnowsze odkrycia naukowe). Veritas. Londyn 1953. Stron 262. Cena 15/-.

Maria Czapska: MIŁOSIERDZIE NA MIARĘ KLĘSK. Z rysunkami Józefa Czapskiego. Veritas. Londyn 1954. Stron 124. Cena 12/6.

„Veritas" wypuścił na przełomie roku w krótkich odstępach czasu całą serię nowych książek, zarówno przekładów jak opracowań oryginalnych. W cyklu tym literaturę piękną reprezentuje jedna tylko pozycja: wybór opowiadań Guareschiego o Don Camillo, proboszczu włoskim.

Opowiadania te, rozsławione bardzo zabawnym filmem włosko-francuskim cieszyły się w ostatnich latach wielką popularnością w całym świecie. Powstały one jako felietoniki w humorystycznym piśmie mediolańskim „Candido", którego Gaureschi jest redaktorem. W tej chwili, nawiasem mówiąc, autor wplątany jest w sprawę o zniesławienie byłego premiera chrześcijańsko-demokratycznego, De Gasperiego, któremu postawił dość nieprawdopodobne a ciężkie zarzuty. Wydając zbiór felietoników z „Candido" o wsi włoskiej z r. 1947 autor nie przypuszczał, że zyska rozgłos światowy. Na rynek międzynarodowy wprowadziło go tłumaczenie niemieckie „Małego świata". Przyczyną powodzenia książki stały się zarówno walory ściśle artystyczne, jak i temat. Do walorów artystycznych należy niezwykle prosty i jasny język oraz oryginalna postać samego proboszcza, a w mniejszej już mierze i jego przeciwnika, komunistycznego wójta Peppone.

Drugim, może ważniejszym, źródłem powodzenia felietonów Gaureschiego jest to, co nazwano jego optymizmem, a co jest raczej „eskepizmem", żeby użyć angielskiego określenia. Czasy są przerażające, a najbardziej przerażająca w nich jest walka komunizmu z wszelkimi walorami cywilizacji chrześcijańskiej i perspektywa potwornej rzezi światowej, jaka nas może czekać lada chwila. Wolimy o tym nie myśleć, a nie myśleć trudno. I oto przychodzi włoski humorysta i opowiada nam o tej walce jako o czymś zabawnym i poczciwym, co sprowadzone do rozmiarów wioski nadpadańskiej da się rozwiązać dobrym sercem dwóch krewkich, ale poczciwych przeciwników. Cóż dziwnego, że miliony ludzi znajduje w takiej książce chwilową pociechę i odprężenie, skoro przypomina nam ona, że wszyscy jesteśmy ludźmi i wyraża nadzieję, że nieludzkość komunizmu jest tylko pozorna?

Urok tych opowiadań i oryginalność stylu stawiają je w rzędzie takich humoresek jak „Dzielny wojak Szwejk" i tyleż mówią o prawdzie obecnego pokolenia, co o prawdzie poprzedniego mówiły dzieje czeskiego cwaniaka. Nie byłoby słuszne przykładanie miary ideologicznej do Szwejka czy Don Camilla, „Mały świat" zasługiwał więc w pełni na spolszczenie.

Wyboru opowiadań i ich przekładu dokonał Jan Bielatowicz. Wybór zdaje się być bez zarzutu, tłumaczenie nie. Zadanie tłumacza jest tu niezwykle ciężkie. Oryginał jest już właściwie czymś w rodzaju tłumaczenia, bo oddaje gwarę ludową włoską potoczną literacką włoszczyzną, mieszając ją z karykaturą języka urzędowego. Nie podejmujemy się ocenić, czy można było dokonać dużo lepszego przekładu. Ten, który jest, chwilami przebłyskuje głębokim artyzmem i wdziękiem, chwilami robi wrażenie raczej brulionu do dobrego tłumaczenia niż wykończonego dzieła. Ale może za wielkie stawiamy wymagania przekładowi utworu lekkiego i niemal ulotnego.

Mniej uzasadnione wydaje się opublikowanie przez „Veritas" „Krótkiej historii Anglii" Chestertona. Rzecz była pisana w czasie pierwszej wojny światowej i zapewne aktualność analogii skłoniła w czasie drugiej wojny światowej Adama Doboszyńskiego do dokonania przekładu polskiego. W czasie tego tłumaczenia Polacy byli w Anglii przybyszami, nawet wykształceni przeważnie nie znali angielskiego i udostępnienie im błyskotliwego essayu histo-

rycznego Chestertona miało swój sens. Dziś jest inaczej. Ludzie o przygotowaniu literackim zarówno w Wielkiej Brytanii jak w Ameryce, a najczęściej i w innych krajach rozproszenia sięgnąć mogą do oryginału. Książka Chestertona nie jest popularnym wykładem historii Anglii dla szerokich mas, ale zbiorem paradoksów i uwag na kanwie historycznej, choć Chesterton mógł myśleć, że pisze popularne „odkłamanie" dziejów ojczystych. Książka wielkiego pisarza niewiele powie tym, którzy nie znają w ogóle historii Anglii. Ale może „Veritas" wie lepiej: może liczba Polaków, którzy znają historię Anglii, a nie znają angielskiego jest większa niż należałoby oczekiwać?

Książka o. Bocheńskiego jest wyborem jego artykułów pisanych w czasie wojny na tematy etyki w wydawnictwach duszpasterstwa wojskowego. Najdłuższa z nich jest rozprawa o cnotach wojskowych, będąca częściowym odtworzeniem napisanej przed wojną i zniszczonej książki „De virtute militari". Niektóre z tych szkiców mają charakter bardziej przemijający, inne trwały. Dobrze, że zostały ocalone od zapomnienia w rocznikach wydawnictw wojskowych i udostępnione na nowo szerszej publiczności, mimo iż nie dorównują swoją wartością doskonałym pracom filozoficznym tegoż autora.

Najcenniejszą bodaj pozycją wśród wymienionych wydawnictw jest obszerna i stanowiąca zamkniętą całość książka dr Felsztyna. Jest ona rozwinięciem omawianej na tych łamach niegdyś broszury tegoż autora na bardzo zbliżony temat. Felsztyn systematycznie przedstawia najnowsze poglądy naukowe z zakresu fizyki, astronomii, biologii, nauki o człowieku i nawet teorii poznania. Punkt widzenia ma wyraźnie katolicki, ale praca jego, choć popularyzatorska nie naukowa, nie nosi charakteru publicystycznego, lecz zachowuje naukowy obiektywizm. Daje czytelnikowi prawie pełny i bezstronny, choć ogólny, obraz obecnego stanu poglądów naukowych na tematy, które muszą interesować każdego myślącego człowieka. Uzmysławia nam, jak bardzo myśl ludzka odbiegła od formuł i przesądów wszczepianych w szkołach jeszcze tak niedawno. Daje obraz koncepcji świata, w której jest nie tylko miejsce na Boga, ale niemal konieczność uznania Jego wszechobecności. Ponieważ niesposób znać się jednakowo dobrze na wszystkich działach nauki, więc i w tej książce nie wszystkie są równie dobrze omówione. Czuje się, że autor jest przede wszystkim fizykiem, mniej biologiem, a najmniej psychologiem, ale też dla zrozumienia współczesnej myśli naukowej fizyka wydaje się najbardziej podstawowa. W sumie bardzo pożyteczna książka.

Oprawiona w ramy artystycznych ilustracji książeczka Czapskiej jest zarysem dziejów zakładu św. Kazimierza w Paryżu, prowadzonego przez polskie szarytki. Mało Polaków poza Francją wie, że zakład ten, w którym umarł Norwid i spędził koniec życia niejeden znany członek wielkiej emigracji, istnieje do dziś dnia i wychowuje sieroty polskie. Autorka opowiada dzieje zakładu od jego założenia w r. 1846 do dnia dzisiejszego. Książeczka pisana żywo i z dużą kulturą literacką. Wykazuje ona jak kolejne nieszczęścia narodowe Polski odbijały się w ciągu stulecia od wiosny ludów do Jałty na losach niezmordowanie prowadzonego przez polskie siostry sierocińca i przytułku.

W.

RODZICOM O DZIECIACH

Ks. Włodzimierz Cieński: RODZICOM O DZIECIACH. Część I: O psychologii dziecka. Londyn 1954. Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, 51, Eaton Place, London, S.W.1. Stron 112. Cena 4 s.

Książka jest owocem sumiennych studiów naukowych nad wychowaniem i zajmuje się następującymi zagadnieniami: rola wychowawców i jej cechy, wpływ środowiska, sprawa tzw. trudnych dzieci, psychologia dziecka, formowanie się charakteru w świetle zadań wychowawczych. Uzupełniają ją dwie tabele okresów rozwoju dziecka oraz bibliografia. Specjalny dodatek pióra p. Miry Małachowskiej ilustruje poszczególne rozdziały scenami z życia dziecka i komentarzami.

Praca ks. Cieńskiego jest znakomitą pomocą dla rodziców, spotykających się zwłaszcza na obczyźnie z rozmaitymi trudnościami natury pedagogicznej, a pozbawionych często odpowiedniego przygotowania i kierunku. Szybkie rozprowadzenie pierwszego tomu umożliwi wydanie części II, która obejmie tegoroczne wykłady ks. Cieńskiego, kierownika sekcji wychowawczej Poradni Rodzinnej IPAK-u.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

A. Rock: ROSJA PO ŚMIERCI STALINA. Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii. Londyn 1954. Stron 8. Cena 2 d. Pierwsza broszura z cyklu „Co myślą wrogowie Kościoła".

ESTUDIOS SOBRE EL COMUNISMO. Kwartalnik w języku hiszpańskim, poświęcony naukowym studiom nad istotą komunizmu. Wydawca ks. prof. dr Michał Poradowski. Santiago de Chile, numer 2, październik—grudzień 1953. Stron 112.

Leon T. Walkowicz: DZIEJE UNIESIEŃ SERDECZNYCH A RZECZYWISTOŚĆ DZISIEJSZA. Chicago 1953. Stron 380, z licznymi fotografiami w tekście.

Józef Wyrwa („Stary"): PAMIĘTNIKI PARTYZANTA. Część III „Droga żołnierza polskiego", część IV „O co walczymy?". Kurytyba — Brazylia 1953. Nakładem Józefa i Tadeusza Wyrwów. Stron 225.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

Z RADY POLITYCZNEJ WE FRANCJI

W Paryżu odbyło się posiedzenie Prezydium Przedstawicielstwa Rady Politycznej we Francji. W posiedzeniu wzięli udział pp. Z. Zaremba, B. Gajewicz, S. Grocholski, S. Łucki i J. Rokicki. Załatwiono szereg bieżących spraw organizacyjnych i omówiono obecną sytuację polityczną. Postanowiono dalej zwołać wkrótce plenarne posiedzenie Przedstawicielstwa.

ZEBRANIA I ODCZYTY

5 marca na zebraniu londyńskiego Koła Centralnego Stronnictwa Narodowego, p. P. Hęciak wygłosił odczyt na temat „Niemcy po konferencji berlińskiej". Po referacie nastąpiła żywa dyskusja.

★

6 i 7 marca odbył się kurs dla działaczy SN z Kół wielkiego Londynu i podlondyńskich. Referaty ideowe i organizacyjne wygłosili pp. K. Harasimowicz, J. Płoski, J. Rożdżyński, A. Sierz, B. Stemborowski, J. Werner. Na zakończenie kursu przybył prez. T. Bielecki. Po zamknięciu kursu w lokalu Zjednoczenia Polek odbyła się koleżeńska herbatka.

UCHWAŁY POLONII AUSTRALIJSKIEJ

Za zjednoczeniem polskiego kierownictwa politycznego opowiedział się V doroczny walny zjazd Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. W wysłanej do gen. K. Sosnkowskiego depeszy zjazd stwierdził: „Polacy w Australii śledzą z uwagą rokowania londyńskie w zrozumieniu, że zjednoczenie naszych wysiłków jest nieodzownym warunkiem skutecznej walki o niepodległość Polski". Rada Naczelna wystąpiła dalej w obronie naszych ziem zachodnich, zagrożonych rewizjonizmem niemieckim i przesłała odpowiednią rezolucję premierowi rządu australijskiego p. R. Menziesowi.

Powzięta w sprawie Skarbu Narodowego uchwała mówi: „Zjazd nie

uważa za celowe zniesienie Funduszu Polonii Australijskiej. Natomiast zjazd uważa za konieczne, by fundusze Skarbu Narodowego gromadzone na terenie Australii były zużywane na zaspokojenie palących potrzeb kulturalno-społecznych, w pierwszym rzędzie na krzewienie oświaty polskiej na terenie Australii. Zdaniem zjazdu Rady uwzględnienie tego postulatu pozwoli rozszerzyć i uwielokrotnić zbiórkę na Skarb Narodowy. W związku z tym zjazd zaleca Prezydium Rady przedyskutowanie tej sprawy z właściwymi czynnikami, biorąc pod uwagę, by dyspozycja funduszów została zastrzeżona dla Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii".

Zjazd dokonał wyboru nowego prezydium Rady Naczelnej w składzie: J. Kieeberg prezes, E. Tomaszewski i E. Trawiński wiceprezesi, F. Jankowski sekretarz, R. Wierzbicki zastępca, S. Merka skarbnik, A. Iwczenko zastępca.

ODSZKODOWANIA KACETOWSKIE

W latach 1950 i 1951 szereg osób zleciło Delegaturze Towarzystwa Pomocy Polakom w Niemczech na imię pp. W. Borysiewicza, J. Knothego i R. Błeńskiego, zastępstwa dla dochodzenia wobec władz niemieckich odszkodowań z tytułu pobytu w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Sprawy te z powodu likwidacji wydziału prawnego Delegatury w połowie 1952 r. przejął mec. Błeński osobiście. ale wkrótce potem zachorował i w 1953 r. zmarł. Dokumenty będące w jego posiadaniu pozostały u wdowy p. W. Błeńskiej, Westhoven, b. Köln, Millitärringstrasse 3, Germany. Po odbiór tych dokumentów należy się zwracać do p. Błeńskiej, załączając zwrot porta, z poza Niemiec w międzynarodowych kuponach pocztowych. Ponieważ w myśl ostatnio wydanej ustawy wnioski o odszkodowanie muszą być zgłoszone do 1 października 1954 r. przez osoby mieszkające w Niemczech zachodnich i do 1 października 1955 r. przez osoby mieszkające poza Niemcami, zwraca się uwagę, by uprawnieni do odszkodowań nie zwlekali z odbiorem dokumentów i ewentualnie powierzeniem sprawy zastępcy prawnemu.

★

Zarząd Związku b. Więźniów Politycznych Niemieckich Więzień i Obozów Koncentracyjnych z siedzibą w Londynie informuje, że mec. dr T. Zgaiński z Monachium (Moosacherstrasse 11/II, München 13, Germany) prowadzi sprawy o odszkodowania KZ-owskie osobom, które się do niego zwracają i mają warunki do uzyskania odszkodowania na zasadzie przepisów nowej ustawy.

Celem zapoznania się z przepisami nowej ustawy i możliwościami uzyskania odszkodowań, b. więźniowie niemieckich więzień i obozów koncentracyjnych przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych, Francji, Belgii, Szwecji, Niemczech zachodnich i Wielkiej Brytanii powinni utrzymywać kontakt ze związkami b. więźniów działającymi w tych krajach. B. więźniom mieszkającym w innych krajach niż wymienione, informacji udziela za zwrotem porta w międzynarodowych kuponach, Związek b. Więźniów Politycznych Niemieckich Więzień i Obozów Koncentracyjnych (18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, Great Britain), który udziela wskazówek w sprawie indywidualnego powierzenia spraw mec. Zgaińskiemu lub innym adwokatom.

ZALEGANIE Z PRENUMERATĄ POWODUJE WSTRZYMANIE WYSYŁKI

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd.. 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 15 March 1954